NASZ PRZYJACIEL

Dodatek do „Głosu Wąbrzeskiego"

Nr. 23. | Wąbrzeźno, dnia 2 czerwca 1928 r. | Rok 5

Ewangelja

św. Mateusza rozdz. 28, wiersz 18—20.

Onego czasu rzekł Jezus do Swych uczniów; Dana Mi jest wszelka władza na niebie i na ziemi. Idąc tedy, nauczajcie wszystkie narody, chrzcąc je w Imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego, nauczając je chować wszystko, com wam kolwiek przykazał; a oto Ja jestem z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata.

✣ ✣ ✣ ✣ ✣ ✣ ✣ ✣ ✣ ✣ ✣ | ✣ ✣ ✣ ✣ ✣ ✣ ✣ ✣ ✣ ✣ ✣ ✣ ✣ ✣ ✣

Ewangelja

na końcu Mszy św. pierwszej niedzieli po Świątkach
św. Łukasza rozdz. 6, wiersz 36—42.

Onego czasu rzekł Jezus do Swych uczniów Bądźcie miłosierni, jako i Ojciec wasz miłosierny jest. Nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni. Nie potępiajcie, a nie będziecie potępieni. Odpuszczajcie, a będzie wam odpuszczono. Dawajcie, a będzie wam dano: miarę dobrą i natłoczoną i potrzęsioną i. opływającą dadzą na łono wasze. Bo tąż miarą, którą mierzycie, będzie wam odmierzono. I powiedział im i podobieństwo: Iżali może ślepy ślepego prowadzić? Azaż nie obadwa w dół wpadają? Nie jestci uczeń nad mistrza; lecz doskonały każdy będzie, będzieli jako mistrz jego. A cóż widzisz źdźbło w oku brata twego, a tramu, który jest w oku twojem, nie zobaczysz? Ale jako możesz rzec bratu twemu: Bracie, dopuść, że wyrzucę źdźbło z oka twego, sam tramu w oku twem nie bacząc? Obłudniku, wyrzuć tram z oka twego, a tedy przejrzysz, abyś wyjął źdźbło z oka brata twego.

Pan Bóg go wziął za słowo.

Było to pewnej niedzieli popołudniu w lipcu wśród skwarnego upału. — Wesołe towarzystwo siedziało w ogrodzie piwiarni w Bozen, południowem Tyrolu, przy szklankach z piwem i winem. Mówiono głośno i kłócono się — zwłaszcza bardzo wesoło było przy stole pod rozłożystym orzechem. Z dołu dochodził odgłos dzwonów nowego kościoła Najśw. Serca Jezusowego.

— Teraz popi idą na nieszpory! Oniby i nas chcieli tam zwabić odgłosem dzwonów, — papla jakiś młody robotnik drwiąco, ze śmiechem, — ale mnie tam na to nie złapie żaden pop ani za życia ani po śmierci — o nie jedni zaczęli się na to śmiać a inni milczeli zgorszeni.

Przy drugim końcu stołu siedziała jakaś staruszka, która przyjechała do syna owdowiałego, aby gospodarzyć i dzieci wychować; znała ona dobrze tego młodego człowieka, tak mówiącego i rzecze mu na to:

— Idź pan, idź panie Jakóbie, nie mów pan tak — każdy się cieszy przy śmierci, gdy ma księdza przy sobie!

— Ja i przy śmierci nie chcę mieć księdza! — butnie krzyknie zapytany, a zresztą niemam jeszcze ochoty umierać! Jestem jeszcze młody i będę żył długo! Pierwej kolej przyjdzie na panią, pani Kumerowa — czy mam już dzisiaj zamówić księdza dla pani?

— Panie Jakóbie, niech pan nie obraża P. Boga bluźnierstwami. Ja wprawdzie mam siedemdziesiąt i trzy lat, ale nie wiedzieć, czyja kolej prędzej, może ja jeszcze będę na pańskim pogrzebie!

— Nic z tego pani Kumerowa. Niech sobie pani już zawczasu zamówi z pół tuzina księży — ja niechcę żadnego i nie umrę tak prędko!

Równo w ośm dni później, o tym samym czasie, wynoszono z trupiarni szpitala w Bozen umarłego, który nagle — bez księdza — umarł.

Krewnych żadnych nie było, tylko kilku kolegów z fabryki, kilku ubogich i parę pobożnych osób, które chętnie idą na pogrzeb, choćby nieznanego, szło za trumną zmarłego. Wśród obecnych była p. Kumerowa. Wszyscy już odeszli od grobu, ona jedna stała przy grobie i modliła się, myśląc sobie: — Prawdziwie, P. Bóg go wziął za słowo, umarł bez księdza, nagle — i ja stara idę za jego trumną. Panie Boże, bądź mu litościwym: Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci — na wieki, Amen.

Z temi słowami opuściła cmentarz. Umarłym był nie kto inny, tylko ów pyskacz, Jakób, który przed tygodniem bluźnił i cieszył się, że długo żyć będzie jeszcze.

Zygmunt Hoffmann.

Zachód słońca.

Strojne w modrych chmur ramkę, w zórz sennych [purpurę
Słońce dżga płaszcz szkarłatny — jako sznur korali
Kuszących gron rubinem... jak Marji z Magdali
Ust rubinowa czara... weszło, by na górę,

Gdzie mrok z mlecznych kielichów mgły snuje [ponure,
Rozlewać senne blaski... granat i opali
Jasno-białą rozlewność... lun przepychem pali
Się niebosiężny Giewont... wnet świat regli chórem

Zanuci hymn zachodu... w pochwalnym orszaku
Mgieł błękitnych z wądolców mkną wzwyż korowody
Pełząc po iglach sosen i po skalnym żlebie...

A jam patrząc na zachód, wspomniał też na Ciebie
Ze wstanę Twą miłością, jako słońce, młody..
Dziś śnię... gwiazda żadna nie tli na nieb szlaku..

Czerwiec w gwarze ludowej.

Czerwiec uważany bywa — o ile jest pogodny, za najpiękniejszy miesiąc w roku. Może on jednak stać się zwiastunem długotrwałej niepogody. Bo stara przepowiednia mówi: Jeżeli pluta na świętego Medarda, to czterdzieści dni szarga. Boże Ciało, które zwykle na ten miesiąc przypada, rozstrzygało także o pogodzie: Jaki dzień na Boże Ciało, takich dni potem nie mało. Dzień św. Jana należał i należy dziś jeszcze do dni jakoby uroczystych. Na rzekach puszcza się wianki, które dla młodych dziewcząt mianowicie są źródłem najrozmaitszych przepowiedni: Pójdzie wianek pod wodę, stracisz młodość i urodę. Płynie wianek jak rybka, będzie swadźba szybka. Nie oświadczaj się Kasi, jeżli wiatr jej wianek (tj. świeczkę na wianku) zgasi. Nie miej z taką do żeniaczki chęci, której wiankiem woda kręci.

ROZMAITOŚCI

Psychologja barw.

Już u samych początków historji kultury społeczeństw, spotykamy się z — barwą, jako pierwszym tej kultury przejawem. W upodobaniu do barw ujawnił człowiek pierwsze ślady cywilizacji — one były pierwszym stopniem w sztuce ubierania się pojętego pierwotnie nie jako okrycie, ale jako ozdoba, jako wyraz potrzeby przyozdobienia się. W ścisłym związku z tem pozostaje tatuowanie się ludzi pierwotnych; ich prymitywny zmysł kolorystyczny przekładał jaskrawą barwę czerwoną, barwę krwi, ponad wszystkie inne. Niemal symbolicznie z tym poziomem kultury łączy się kolor czerwony, który też i do dzisiaj jest ulubioną barwą narodów o niskiej kulturze; to co czerwone uchodzi za piękne, często pojęcia te się pokrywają, jak np. w rosyjskiej mowie czerwony (krasny) i piękny, znaczy to samo. W miarę jak wzrasta poziom kultury społeczeństw słabnie upodobanie w barwach jaskrawych rażących, które stają się tylko wyjątkowo tolerowanemi.

Upodobanie ludzi w barwach znajduje swe źródło nietylko w kulturalnem, ale i psychologicznym podłożu, w barwach bowiem wyraża się coś więcej niż tylko sam moment estetyki. Wieki średnie wytworzyły całą symbolikę kolorów dość zresztą prymitywną i naiwną, niemniej bardzo popularną. W zestawieniu kolorów ubrania prowadził rycerz średniowieczny tajemną korespondencję i dla tego celu nie cofał się nawet przed najbardziej niezmaczną pstrokacizną. Niektóre z tych symbólów są i dziś powszechnie znane: zielony kolor oznacza nadzieję, niebieski wierność, czerwony miłość, biały niewinność itd. Balząk przeprowadził nawet pewne próby dość dowolne zresztą psychologicznego uzasadnienia upodobania kobiet w pewnych kolorach; tak więc, zdaniem jego, kobiety, które doznały większych zawodów życiowych okazują w ubraniu skłonność do koloru niebieskiego, podobnie kolor „lila" bywa noszony przez kobiety, które kiedyć były piękne i już niemi nie są. Dawniej był to właściwie kolor żałobny. Kolor biały zawsze niemal używany za symboliczny, bądźto podkreślał uroczysty charakter ubioru, bądźto był oznaką żałoby i smutku. bądź nawet, jak za czasów francuskiego cesarstwa szczególnie ówczas modny — był oznaką kokieterji.

Upodobanie w pewnych barwach ich mniejczej lub większej żywości jest charakterystyczną cechą społeczeństw w poszczególnych etapach ich rozwoju kulturalnego.

Co będzie gdy ziemia zadrży pod Nowym Jorkiem?

Ostatnie trzęsienia ziemi i połączone z niemi katastrofy zwróciły uwagę niemieckich, angielskich i amerykańskich uczonych na małe przystosowanie współczesnych budowli do kataklizmów przyrody.

Słuszne więc zadano sobie pytanie:

— Coby się stało z wielkiemi miastami amerykańskiemi, gdyby zatrzęsła się ziemia pod Nowym Jorkiem lub Chicago? — Ile ludzi zginęłoby w takiej katastrofie?

Z olbrzymich dzielnic nie uszłaby żywa noga, gdyż przygniotłyby wszystkich drapacze chmur i masy olbrzymich kamienic.

Wobec tej obawy system oszczędnościowego przez drapacze, zbankrutował doszczętnie. Amerykanie chcą obecnie mieszkać w małych domkach otoczonych wolną przestrzenią, aby w razie niebezpieczeństwa nie znaleźli się pod gruzami wielopiętrowych kamienic.

Postanowiono nawet zbadać erakcję różnych materjałów budowlanych na drżenie ziemi.

W tym celu wyjechała na Alaskę komisja złożona z 5 architektów, którzy w krainie wulkanów i nieustannych falowań ziemi udoskonalić mają współczesne budowle i uczynić je odpornemi na ewentualne katastrofy.

Kiedy zbudowany został pierwszy polski samolot?

Bibljoteka Narodowa w Paryżu nabyła niedawno z rąk prywatnych pewną ilość listów pisanych przez sekretarza Marji Gonzagi p. Ges Noyers, do słynnego francuskiego erudyty, niejakiego Maztina Mersenne'a (1588 — 1648). Z listami tymi oraz z innymi dokumentami analogicznemi zapoznał się p. Gocel i wydobył z nich niezmiernie interesującą, sensacyjną wprost pod względem historyczno-kulturalnym wiadomości Oto wynika z tych informacji, że pierwszy samolot, jaki wogóle wzniósł się w powietrze. został zbudowany na dworze króla Władysława IV w Polsce w wieku XVII wieku. Twórcą tej latającej maszyny był Titus Livius Buotini, wprawdzie „gente Italus", ale tak dalej zaklimatyzowany na naszej ziemi, iż można o nim bez przesady powiedzieć, że stał się natione Polonus". Stąd też zupełnie nie bez ji będziemy go nazywać tak, jak go zwają skie źródła, z sarmacka Boratynim.

Boratyni urodził się w Wenecji, około r. 1615 i pod wpływem Galileusza poświęcił się prawie wyłącznie badaniom nad fizyką. Co go ciągnęło do Polski, nie wiemy. Dość, że w r. 1644 występuje jako pośrednik w sporze naukowym między kapucynem Walerjanem Gan gnusemi a pośrednictwem zwraca na siebie powagę uczonych europejskich, którzy dowiadują się coraz to nowych pomysłach Boratyniego,

I tak rzucił on myśl wprowadzenia powszechnej miary, wyprzedzając o 200 lat protekt francuski. Zajmował się on dioptryką, z soczewki ze szkła i kryształu górskiego, zbudował maszynę hydrauliczną w Warszawie na potrzeby nowego pałacu Morsztyna, która za pomocą wiatru dostarczała dziennie do 5000 beczek wody. Miał też wynaleźć zegar, poruszany za pomocą wody.

Obrotny i uprzejmy, zyskał szybko sympatje Władysława IV i jego żony Marji Gonzagi. Również Jan Kazimierz darzył go wielkiem zaufaniem i mianował go komendantem miasta Warszawy, obdarował szlachectwem polskim. oraz nadał prawo bicia monety; z którego to prawa wywiązał się świetnie, a nie bez obfitych zysków dla siebie.

Jak się dowiadujemy z wzmiankowanej korespondencji, w lutym, w r. 1948 zbudował Boratyni aparacik długi około 4-ech stóp, wsadził do niego kota, poczem po nakręceniu sprężyny aparat wzniósł się do wysokości kilka metrów.

W 180 r. życia zmarła ostatnia istota, która rozmawiała z Napoleonem I.

Donoszą z Londynu, że zmarła tam w pobliżu Brighton — papuga, mająca 180 lat, z którą częstą żartował cesarz Napoleon I-szy. Zmarła więc ostatnia żywa istota, która miała zaszczyt rozmawiać z wielkim cesarzem.

Historja laski.

W zamierzchłych jeszcze czasach kij — poprzednik laski — zanim stał się jednym z atrybutów mody, był wiernym i niezbędnym towarzyszem człowieka w długich i niepozbawionych zwykle niebezpieczeństwa wędrówkach. Pielgrzymi, kupcy i podróżni od napamiętnych czasem brali ze sobą kije, których używali do podparcia się w drodze i odparcia napaści Pozatem kij, względnie laska, już w dawnych czasach posiadała pewne znaczenia symboliczne, była np. oznaką godności wodza. to znów godłem osób urzędujących.

Jako przedmiot mody, laska pojawia się dopiero w 17-tym wieku. Król francuski Henryk VI był pierwszym panującym, który używał wykwintnego kija spacerowego. Sławną stała się laską hebanowa króla Ludwika XIII, ozdobiona gałką z kości słoniowej, do historji zaś przeszły drogocenne laski Ludwika XIV uwiecznione na licznych portretach „Króla Słońca". Ambicją owych czasów było posiadanie pięknego i cennego kija spacerowego, wskutek czego artyści i jubilerzy przesadzali się w stwarzaniu prawdziwych w tej dziedzinie sztuki, arcydzieł. Jednym z najzagorzalszych zwolenników tej mody był kardynał Richelieu, uważając za punkt honoru przechadzanie się z ozdobną laseczką.

Zaznaczyć należy, że za laski wydawano wówczas olbrzymie sumy, dochodzące do tysiąca a nieraz i więcej dukatów. Jedną z najdroższych na świecie lasek, wartości 60 tys. rubli, ofiarowała cesarzowa Katarzyna II. królowi szwedzkiemu, Gustawowi III.

Laska spacerowa miała — rzecz jasna — licznych i namiętnych zbieraczy. Jednym z najzagorzalszych był minister saski hr. Bruehl, który posiadał przeszło trzysta lasek z najrozmaitszych epok. Głośny był również pod tym względem ojciec kompozytora Meyerbeera, Henryk Beer. Zbiór jego należał do najsłynniejszych w Europie. Jednak ta manja kolekcjonerska nie wyszła mu na zdrowie. Straciwszy na nią cały swój majątek, niefortunny zbieracz dostał pomieszania zmysłów i zmarł, trzymając w ręku dwa najpiękniejsze okazy swych zbiorów.

WESOŁY KĄCIK

Zawikłane koligacje nowoczesnych małżeństw.

Ożeniłem się - proszę państwa — 34-letnią miłą, ładną i dobrą wdówką, która miała równie miłą córkę 16-letnią. Trzeba zdarzenia, że mój ojciec — wdowiec od 12 lat — poznawszy moją pasierbicę, poszedł w moje ślady i ożenił się z nią. Od tej pory wszyscy potraciliśmy orjnntację w rodzinnych stosunkach.

Moja żona — czyli synowa mego ojca — została jego teściową, moja pasierbica jest moją macochą, a mój ojciec jest moim zięciem. Byłoby to jeszcze możliwe do wykombinowania, gdyby nie fakt narodzin mego syna, a w pół roku potem przyjście na świat jego stryja, czyli synka mego ojca.

Macocha moja a córka mej żony została w ten sposób siostrą swego wnuka. Jej syn jest moim bratem, a ja jego dziadkiem. Mój ojciec jest szwagrem swego wnuka, który jest bratankiem jego syna. Moja żona — synowa i teściowa mego ojca jest babką mego brata. Jednem słowem, ja zostałem swoim własnym dziadkiem.

Skarb Watażki

27) POWIEŚĆ.

Na łbie znać było szeroką, niezarosłą bliznę, która szła przez nos aż ku oku, jedna z łap była krzywa. Było psisko niekształtne, pan i pies nie mieli sobie nic nawzajem do zazdroszczenia co do urody.

— To mi sobaczka mądra — mówił watażka, spoglądając z szczególną czułością na zwierzę — to mi brat ten Bimbasza. Gdyby tylko na dwóch nogach chodził, a mówić umiał, wart być atamanem; cały kureńby wodził a dobrze... Nie ładny on, bo nie ładny, taka już jego uroda; nie darmo pies hajdamacki. Ale za to śmiały i silny; wilka weźmie, chłopa powali. Pięć lat on ze mną chodzi, w najgęstszy ogień ze mną bywało bieży. Kula turecka nogę mu złamała, ot jak widzicie, a przez łeb dragon tak pałaszem uderzył. Świat cały zejść za taką sobaczką.

Fogelwander, który cierpliwie wysłuchał tego opowiadania Trokima, bo mu zresztą przerwać było niepodobna, tak się rozgadał i rozrzewnił hajdamak, odezwał się teraz szorstko:

— Czegoż chcesz odemnie i czemu szukasz własnej zguby?...

— Ja swojej zguby nie szukam, ale waszej się boję i dla tego mnie tu widzicie. Miejcież wy się na baczności, jasny rotmistrzu, nawarzyła się zdrada jakaś na was. Słuchajcie tylko co wam powiem. Od kiedy ja uciekłem ze Lwowa, chowałem się w jaszczynieckiej karczmie u stróża, nim zdrowie wróciło po trosze. Wczoraj ja w nocy pod żłobem w stajni leżał, a Bimbasza koło mnie. W stajni było trzech chłopów i naradzali się z sobą. Mnie oni nie widzieli, a ja słyszał wszystko. Jeden namawiał dwóch innych, aby z nim dzisiaj do Kamieńca poszli, oficera jednego zabić. „Zarobicie po pięć czerwieńców" mówił „jak go żywcem weźmiemy albo ubijemy, ale trupa przystawić trzeba". Słyszę ja to i nie wiele mnie to obchodzi, myślę sobie: chcą zabic oficera, niech im na zdrowie będzie; zabił i ja już niejednego a oficery nas hajdamaków nie pożałowałowali nigdy. Ot tak myślałem sobie, ale słucham dalej. Tak mówi znowu jeden: „Sztuka gładko pójdzie, weźmiemy go w jamie jak lisa, w tym domu, gdzie on siedzi, stróż z nami trzyma. Drzwi nocą otworzy, nas wpuści, a jak będzie po robocie wypuści znowu.

Fogelwander począł teraz słuchać z wytężoną uwagą; domyślił się, że tu o niego chodziło.

— Mów prędko Trokim, mów dalej — nalegał watażkę.

— Kiedy przestali mówić i poszli, ja leżał sobie jeszcze, a potem idę do wrót na świat popatrzeć trochę. Patrzę, a oni przy wrotach sobie stoją jakby na kogoś czekali. Naraz powiada jeden: „Ot jedzie teraz, pokażę go wam, abyście wiedzieli, czyja głowa ma być dzisiaj w naszym worku". Spoglądam i ja i aż przeżegnałem się trzy razy, oczy przecierając. Czy to wy, czy to nie wy? Nie, taki to wy. Jechalim na koniu z dragonami; za wami zaraz ten sam wąsaty wachmistrz, co nad nami był w szańcach lwowskich. Poznał ja was od razu i widzę, że to na waszą głowę się nasadzili... Ho, ho... myślę sobie, weźcie sobie całą kopę głów oficerskich, ale tego mi nie ruszcie. Tak ja zaraz z karczmy na pole, a potem za wami i za dragonią. Wy do miasta, ja za wami, wy do kwatery, a ja także. Ot i wszystko Trokim powiedział, co widział. Pilnujcież wy się, a dobrze; w nocy goście do was przyjdą.

Fogelwander stał, milcząc, jakby pod głębokiem wrażeniem opowieści i patrzał z pewnem zdumieniem na hajdamaka.

Patrzał na watażkę, jak na dziwną, tajemniczą zagadkę Ten człowiek mówił o zbrodni, jak o rzeczy naturalnej, cudze życie miał sobie za coś, co jest własnością pierwszego lepszego zbójcy.

Z opowiadania jego przebijała szczerość zbrodniarza, posunięta do szczególnej naiwności, przebijał brak najzupełniejszy wszelkiego moralnego poczucia; a przecież ta dzika potworna natura błysnęła szlachetniejszym jakimś instyktem i umiała zdobyć się na uczucie wdzięczności.

Po chwili milczącego zdumienia, Fogelwander zawołał żywo:

— Dziękuję ci Trokimie, dziękuję. Uczyniłeś pięknie, przestrzegając mnie o niebezpieczeństwie, ale kuś mnie i nie próbuj. Byłeś wdzięczny, nie zmuszajże mnie, abym ja był niewdzięczny. Uchodź stąd zaraz, znikaj; niechaj tak będzie, jakbym cię nie widział, nie słyszał. Opuść mnie natychmiast. Może zaraz przyjdą do mnie żołnierze, a wtedy wierz mi, natychmiast uwięzić cię każę...

Trokim stał obojętnie.

— Oho, jeszcze nie wszystko, jasny panie — ozwał się znowu — a co ze skarbem będzie? Jabym był i tak was wyszukał; ja sprawiedliwy człowiek. Skarb Panu Bogu, mnie i wam. I to jest główna sprawa, dla której także przyszedłem. Wy może myśleli: Trokim zdrajca, Trokim uciekł, słowa nie dotrzymał. A jak ja nie miałem uciekać, kiedy można było? Była bitka, przyszły konfederaci, wy mogliście dostać kulą w głowę, ot i po was. A ze mną co wtedy? Monachy wasze były mnie wydały znowu do lochów i bajka nudna jak długa. Ot i dla czego ja uciekł. Ale ja byłbym was znalazł koniecznie. Podzielimy się rzetelnie i sprawiedliwie.

W tej chwili dało się słyszeć silne pukanie do drzwi, a pod szyby przymknęły się kapelusze dragońskie...

— Uchodź! — zawołał Fogelwander — inaczej nie wyjdziesz stąd nigdy! Gdy mnie tu żołnierze moi zobaczą razem z tobą, będę cię tu musiał aresztować. Czy myślisz, że oni cię nie poznają?

Fogelwander otworzył drzwi do drugiego pokoju i rzekł dalej:

— Idź tędy, otwórz okno i wyskocz. Nie chcę, abyś się z nimi spotkał.

Watażka usłuchał oficera, ale szedł, wahając sie, krokiem powolnym.

Fogelwander wybiegł do sieni, aby otworzyć pukającym żołnierzom, a byli to podoficerowie, którym stawić się kazał po ordynanse.

Trokim chwilkę zatrzymał się, podsunął się ku stołowi i coś z pod swej kurty kozackiej wyciągnął.

(Ciąg dalszy nastąpi).